

Wszystkie nazwy instytucji, kierunków studiów oraz miasto w stanie Vermont, w którym rozgrywa się akcja, są całkowicie fikcyjne i zostały stworzone wyłącznie na potrzeby tej powieści.

Treści zawarte w książce mogą być trudne w odbiorze dla niektórych czytelników: retrospekcje traumatycznych wydarzeń, elementy stalkingu i manipulacji emocjonalnej, a także sceny erotyczne.

Zalecana ostrożność i dojrzałość emocjonalna podczas lektury.

Nie jestem za bardzo. Ty po prostu jesteś za mało.

Prolog

Finn

– Gnoju! Jak możesz?!

Zmrożone Americano chlusnęło mi w twarz. Kostki lodu odbiły się od mojego zmarszczonego w zdziwieniu czoła. Zacisnąłem powieki, żeby przypadkiem napój nie dostał mi się do oczu. Nie widziałem, co się dzieje, ale doskonale słyszałem głośnie dyszenie dziewczyny stojącej przede mną. Gniotła wściekle plastikowy kubek między palcami, jakby to miało w czymkolwiek pomóc.

Jej pewnie pomagało.

Mnie doprowadzało do szału.

– O co ci chodzi, co? – kontynuowała drżącym głosem. Przetarłem mokłą twarz dłonią i spojrzałem na nią beznamiętnie. – Tyle dla ciebie poświęciłam, Finn. Czego jeszcze byś chciał?

– Niczego, Kriss. Dlatego z tobą zrywam.

– Ja się na to nie zgadzam!

Parsknąłem rozbawiony. Pochyliłem głowę i wbiłem wzrok w zaczerwienioną twarz. W kawiarni zaległa cisza, spojrzenia wszystkich skierowały się na nas. Nawet barman zamarł ze ścierką i szklanką w rękach w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

Podniosłem się z krzesła. Zaczesałem palcami mokre włosy, by strąki nie włożyły mi do oczu. Sięgnąłem do kieszeni po portfel i wyciągnąłem z niego dwadzieścia dolców, po czym rzuciłem na ochlapany stół. Kriss cały czas wodziła za mną spojrzeniem, jakby to miało coś zmienić.

– Na razie, Kriss – powiedziałem z całym spokojem, na jaki było mnie stać. Tak naprawdę gotowałem się od środka. – Powodzenia.

Ruszyłem w stronę wyjścia.

– Finn! – krzyknęła za mną, ale nie zamierzałem się odwracać. – Nie skończyliśmy! Nie waż się stąd wychodzić! Słyszysz?!

Słyszałem i miałem to gdzieś. Wyszedłem odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami biernych uczestników tego przedstawienia. Szum ulicy i zamknięte drzwi zagłuszyły lament mojej byłej dziewczyny wystarczająco, bym mógł odetchnąć ze spokojem.

Odbiłem w lewo. Powinienem wrócić do mieszkania, zdjąć przemoczone ubranie, ale nie miałem na to ochoty. Posypałby się grad pytań, odpowiadanie na jakiegokolwiek nie było moim wymarzoną zajęciem na obecną chwilę.

Wiatr zaciął prosto w twarz, każdy okruszek, jaki się z nim przypałętał, przyklejał mi się do twarzy. Pieprzone iced americano z całą toną pieprzonego cukru zastygało w zawrotnym tempie na skórze. Zacisnąłem szczęki i twardo maszerowałem przed siebie, dopóki nie zobaczyłem znaku prowadzącego do parku.

Wszedłem na wysypaną żwirem ścieżkę. Jak na późne popołudnie było wyjątkowo cicho, zwykle to miejsce tętniło życiem do zachodu słońca. Tym razem jedyne dźwięki, jakie do mnie docierały, to śpiew ptaków, szum wody znad jeziora i cicha, spokojna muzyka. Niosła się echem po przestrzeni, dlatego postanowiłem podążać jej śladem.

To było coś niecodziennego.

Szedłem między drzewami, wiedziony melodią. Pogrążony we własnych myślach, nawet nie zauważyłem, że wszedłem między sztalugi i ogromne podobrazia, a muzyka przybrała na sile. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy jeden z obrazów wyrósł na mojej drodze.

Zatrzymałem się gwałtownie. Musiałem wyciągnąć ręce z kieszeni, żeby złapać równowagę. Oparłem dłonie o kolana, wzdychając ciężko.

– Było blisko – mruknąłem do siebie.

Mimo wszystko nie chciałem niczego zniszczyć. Wyglądało na to, że w parku miała miejsce jakaś wystawa. Miasto czasem angażowało

lokalnych artystów i wystawiało ich prace w jedynej galerii, która tu powstała lub właśnie w Avenleigh Park.

Przyjrzałem się obrazowi. Przedstawiał kamiennego anioła na po-deście, z rozłożonymi szeroko skrzydłami. Wyglądał, jakby spadał, ale podstawa wskazywała na to, że było zupełnie inaczej. Jak złudzenie, któremu wielu ulega, by nigdy nie zdać sobie sprawy z tego, że wcale się nie staczają, tylko stąpają twardo po ziemi. Oprócz anioła na obrazie nie było nic więcej. Jakies złoto-żółte mazaje. Nie znałem się jakoś szczególnie na sztuce. W moim życiu nie było dla niej miejsca.

Moją uwagę przykuła plakietka stojąca obok. Przyjrzałem się napisowi.
Eden Sanderson.

Typ miał niezwykle okrojoną paletę kolorów i z tematami też był na bakier. Przynajmniej to mogłem wywnioskować, gdy przeleciałem wzrokiem po reszcie obrazów. Wszystkie zostały utrzymane w tej samej kolorystyce. Musiał być niezwykle smutny, skoro malował jedynie spadające albo zrozpaczone anioły. Dziwny motyw sobie wybrał. Nie byłem jakimś znawcą sztuki, ale widziałem dużo lepsze rzeczy niż to.

Niespodziewanie zacząłem się zastanawiać, co gość mógł mieć w głowie. Po co się tym zajmował? To tak bardzo nieprzydatna umiejętność – pieniędzy z tego żadnych, a i ludzi interesujących się sztuką coraz mniej. Ta wystawa to świetny przykład na potwierdzenie mojej tezy. Tylko ja i kilka malowideł.

– Tu nie wolno wchodzić – usłyszałem za plecami zmęczony życiem głos.

Zerknąłem przez ramię na podstarzałego ochroniarza. Wcisnął kciuki pod skórzany pasek przy spodniach i łypał na mnie spod byka.

– Słucham? – wymamrotałem. Słyszałem, co powiedział, ale w pierwszej chwili nie zrozumiałem jego słów.

– Tu nie wolno wchodzić. Wystawa będzie otwarta dopiero jutro.

– Ach, rozumiem. – Podrapałem się po karku. Ruszyłem w stronę wyjścia z tego anielskiego labiryntu. – Zamyśliłem się. Już uciekam – dodałem, po czym wyminąłem staruszkę.

– Zapraszamy jutro!

Machnąłem jedynie ręką. Nie zamierzałem tu wracać. Zbyt nudno.
Zbyt monotonnie.

Nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo się wtedy myliłem.

Rozdział 1

Finn

Obudziłem się z potwornym bólem głowy. Budzik w telefonie był w najlepsze, a mi oczy wychodziły z orbit. Sięgnąłem po urządzenie leżące na szafce przy łóżku i włączyłem drzemkę. Spojrzałem na zegarek. Siódma dziesięć. To oznaczało, że dzwonił już wcześniej, ale albo go nie słyszałem, albo nieświadomie wyłączyłem.

Założyłem okulary. Odblokowałem ekran. W lewym dolnym rogu widniało czterdzieści nieodebranych połączeń. Nie musiałem nawet sprawdzać, wiedziałem, że to Kriss. Wydzwaniała do mnie jak szalona od trzech tygodni. Dobrze, że rozstałem się z nią zaraz po przeprowadzce do nowego mieszkania. Współlokator z poprzedniego mówił, że wystawała pod drzwiami długie godziny. Musiał wzywać policję.

Podniosłem się ociężale. Wczorajsza impreza to nie był dobry pomysł, mogłem sobie odpuścić. Wiedziałem jednak, że następna taka okazja mogła szybko nie nadejść. Podczas semestru brakowało czasu na balowanie, szczególnie na moim kierunku.

Począłem do łazienki. W korytarzu unosiły się zapachy smażonego bekonu i czarnej kawy. Conrad już był na nogach. Pogwizdywał cicho. Wyobrażałem sobie, że przewraca jajka w rytm nowo skomponowanej piosenki. Los mnie pokarał, połączył z artystą, choć studiował na tej samej uczelni. Cóż... przynajmniej nie jarał jak poprzedni.

Odświeżyłem się szybko, nie lubiłem stać pod prysznicem. Uważałem to za marnowanie czasu. Zresztą za niecałe dwie godziny mieliśmy stawić się na uniwersytecie. Dziś zapewne będą straszne korki, ponieważ większość studentów dojeżdżała na kampus samochodami.

Wszedłem do kuchni w samych gaciach. Oczy wciąż przyzwyczajały się do szkieł kontaktowych. Śniadanie już stało na stole. Nieodłączny rytuał poranków, odkąd zamieszkałem z Conradem. Nie miało znaczenia, czy wstawałem o siódmej, dziesiątej czy piętnastej – śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. Tak mówiła jego babcia. A on babci wierzył jak mało komu.

– Siema, stary – wymamrotał współlokator z buzią pełną jajeczniczy. Nie podniósł nawet głowy znad telefonu. – Gdzie dzisiaj masz?

– W auli głównej – odparłem, siadając po przeciwnej stronie. Zapach jajek i bekonu sprawił, że ślina napłynęła mi do ust. Przy talerzu stały sok pomarańczowy i szklanka z wodą, a tuż obok leżał blister proszków przeciwbólowych. Sięgnąłem po niego od razu. – Dzięki.

– Tak samo jak ja. – Nabrał jedzenie na widelec, po czym wycelował nim we mnie oskarżycielsko. – Wróciłeś o drugiej i chciałeś ze mną spać. – Spojrzał na mnie, figlarny błysk pojawił się w niebieskich oczach. – Nie miałbym nic przeciwko, ale strasznie capieś gorzałą.

– Czuję się jak gówno.

– I tak wyglądasz. Kontrolowałeś cukier?

Westchnąłem w odpowiedzi. Nie potrzebowałem opiekunki. Wiedziałem doskonale, że po nocnej eskapadzie będzie niebotycznie niski. Śniadanie powinno wyrównać jego poziom lub chociaż odrobinę go podnieść.

– W nocy sprawdzałem CGM – kontynuował, nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi. – Wyglądało w porządku, trochę się bałem, że...

– Przestań mi matkować – warknąłem. Popiłem tabletkę zimną wodą. Rozlała się po wyschniętym na wiór przełyku, jakby zesłał ją sam Duch Święty. – Gdyby coś się działo, alarm w telefonie by mnie poinformował. Poza tym wczoraj wymieniałem wkład w pompie.

Chłopak zacisnął usta, ale nie powiedział już nic więcej. Nie lubiłem poprzedniego współlokatora, ale przynajmniej nie wpierdalał się w moje sprawy.

Conrad był dziwny, jego koledzy też. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek się uczył, a mimo to wciąż widniał na wszelkich listach osiągnięć, jakie tylko można spotkać na korytarzach uniwersytetu. Dotarło to do mnie, gdy mi się przedstawił. Skądś znałem człowieka, ale nie wiedziałem skąd. On sam uświadomił mi to po jednej z imprez organizowanych w pobliskim lesie, gdy wracaliśmy piechotą do wspólnego mieszkania.

Był osobliwy, zakochany w gitarze basowej i przepotwornie inteligentny. Chciałem go prześcignąć w tych wszystkich naukowych osiągnięciach. Problem polegał na tym, że był również dwa lata starszy i okazało się to piekielnie ciężkie, bo nie startowaliśmy w tych samych konkursach.

Śniadanie dokończyliśmy w ciszy. Mój lokator wyszedł niedługo później. Chciał spotkać się ze znajomymi, zanim oficjalnie rozpocznie się rok akademicki. Mówił mi o wszystkim i początkowo strasznie się denerwowałem, bo nie potrzebowałem, by ktoś mi się spowiadał. Potem to nabrało sensu. A mianowicie wtedy, gdy nie wrócił o godzinie, o której obiecał, i okazało się, że miał kłopoty z samochodem i zasięgiem. Gdyby mi nie powiedział, spędziłby noc przy drodze, gdzie kręciło się sporo dzikich zwierząt. I to takich z kategorii agresywnych.

Nie ubierałem się elegancko. To domena pierwszoroczników, a ja od dawna nim nie byłem. Zaczynałem drugi rok doktoratu i ostatnie, o czym myślałem, to koszula i krawat. Byłe przetrwać apel i wpisać się na listę.

Wrzesień zwykle groził upałami, w tym roku jednak postanowił wszystkich zaskoczyć i stać się najbardziej deszczowym miesiącem od dwóch dekad.

Owinąłem się szczelniej płaszczem, rozłożyłem parasolkę i ruszyłem w stronę przystanku autobusowego. Nie miałem odwagi wsiąść za kółko. Robiło mi się słabo na samą myśl o prowadzeniu samochodu.

Ludzie tłoczyli się pod wiatą poupychani jak sardynki. Deszcz bębnił o plastikowy dach zawzięcie, jakby chciał rozbić go na drobniutkie kawałki. Część z twarzy rozpoznałem, część była mi zupełnie obca.

Ból głowy ustępował dzięki magicznemu Tylenolowi¹. Niestety ścisk w autobusie nie sprzyjał jego całkowitemu odejściu. Dziesiątki zapachów różnorodnych perfum mieszały się ze sobą i tworzyły bukiet całkowicie nieakceptowalny przez moje receptory węchowe. Podróż na szczęście nie okazała się długa, gdyby było inaczej, zwątpiłbym w swój zdrowy rozsądek, wysiadł na najbliższym przystanku i wrócił pod mieszkanie po mojego Forda.

Telefon zawibrował w kieszeni płaszcza. Oprócz kolejnych dziesięciu połączeń od Kriss na wyświetlaczu widniała informacja o nowej wiadomości od matki:

ISOLDE: Zadzwoń po. Sprawdziłeś?

Tylko tyle zdołała napisać. I doprowadzić mnie na skraj cierpliwości, choć i tak balansowała na cienkiej linii, odkąd wyprowadziłem się z domu na studia. Po śmierci ojca stała się jeszcze bardziej kontrolująca niż dotychczas.

Nim wygasilem ekran, pojawił się na nim numer Kriss. Przewróciłem oczami zażenowany. Przez dwa lata naszego związku nie widziałem w niej takich pokładów determinacji, jakie okazywała w ciągu minionych trzech tygodni. Zadzwo niła chyba więcej razy niż w czasie ostatniego miesiąca naszej relacji. Miałem ochotę zaśmiać się głośno. Grunt osuwał się jej spod nóg i desperacko próbowała odzyskać to, co sam postanowiłem jej odebrać. Na jej życzenie.

¹ **Tylenol** – popularna amerykańska marka leków przeciwbólowych i przeciwgorączkowych.

Rozłączyłem się i zablokowałem numer. Miałem tego serdecznie dość. Wszystkiego miałem dosyć przez tę dziewczynę. Najgorsze dwadzieścia dwa miesiące mojego życia.

Deszcz zelżał, z nieba siąpiła mżawka, której większość przybyłych zdawała się nawet nie zauważać. Studenci stali przed budynkiem uniwersytetu w niewielkich grupkach i prowadzili niezobowiązujące rozmowy. Przechodząc przez dziedziniec, kiwałem co chwilę głową na przywitanie. Kilka znajomych dziewcząt z roku pomachało do mnie entuzjastycznie, co skwitowałem jedynie powściągliwym uśmiechem.

Widocznie wieść o moim rozstaniu z tą szurniętą degeneratką rozeszła się szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. I nie chodziło o to, że miałem bogatych rodziców, jeździłem zabójczym samochodem, a w moim świeżo wybudowanym porcie gdzieś na obrzeżach Kostaryki cumował pachnący farbą jacht. Nie chodziło o to, że byłem przystojniakiem, bo wyglądem nie dorastałem sportowcom z uczelni do pięt. Chodziło wyłącznie o to, że po obronie miałem zapewnioną posadkę na najbardziej obleganym wydziale w tym kurwidołku.

Oprócz tego miałem opinię kobieciarza.

Wciąż się zastanawiam, jak do tego doszło.

Kiedy przekroczyłem próg głównej auli wykładowej, harmider uderzył we mnie ze zdwojoną siłą. Instynktownie chciałem przycisnąć dłoń do uszu, jednak powstrzymałem się w ostatniej chwili. Rozejrzałem się po otoczeniu w poszukiwaniu Conrada lub kogoś z mojego wydziału. Wysokie sufity tym razem działały na moją niekorzyść, fantastycznie potęgowały każdy, nawet najcichszy dźwięk, przez co miałem wrażenie, że wokół mnie lata stado wzburzonych os.

Witrażowe okna malowały ceglane ściany całą feerią barw, nawet zachmurzone niebo na zewnątrz nie było w stanie powstrzymać kakofonii kolorów. Szczypały mnie w oczy. Ból głowy przestał mnie napastować, jednak reszta objawów syndromu dnia poprzedniego hulała w moim organizmie w najlepsze.

Przymknąłem na chwilę powieki, by odciąć się od nadmiernych bodźców. Wzięłem głęboki wdech. Niespodziewanie dotarł do mnie zapach, którego wcześniej nie wyczułem. Kojarzył mi się z ciastem dyniowym i późnojesiennymi wieczorami, spędzonymi przy kominku u babci na wsi. Pachniało słodkim ciepłem, którego już od dawna nie zaznałem. Otworzyłem oczy i rozejrzałem się, by namierzyć źródło przyjemnej woni.

Właścicielka, tak jak jej zapach, wyróżniała się na tle sali pełnej studentów w biało-granatowych uniformach. Ciemnobrązowe, nienagannie ułożone fale poruszały się przy każdym ostrożnie stawianym kroku. Szary, wełniany golf wydawał się za duży, ale idealnie pasował do plisowanej, zwiewnej spódnicy w tym samym kolorze.

Trochę smutny ten strój.

Musiała być nową studentką, widziałem ją po raz pierwszy. Spojrzała w lewo i założyła kosmyk ciemnych włosów za ucho. Tkwiła w nim biała słuchawka. Zaciśnięte usta poruszały się niemrawo, przygryzała wewnątrz policzka – wiedziałem to, bo sam wielokrotnie to robiłem, kiedy się czymś stresowałem. Lekko zadarty nos zmarszczył się w niezadowolenu. Ewidentnie kogoś poszukiwała. Jej ramiona opadły, gdy owa osoba nie pojawiła się w zasięgu jej wzroku.

Niespodziewanie poczułem silną potrzebę, by podejść i zapytać, czy nie potrzebuje pomocy. Nawet mnie zdziwił ten bezinteresowny odruch. Nie lubiłem gadać ze swoimi kumplami, a co dopiero z jakąś obcą małodatą.

Nim wykonałem jakikolwiek ruch, poczułem na ramieniu czyjąś dłoń.

– Znowu ty – mruknął Dean. – Czemu co roku to musisz być ty?

Uśmiechnąłem się złośliwie. Pieprzony Dean Nicholson, który towarzyszył mi przez cały okres nauki w Avenleigh Institut of Technology. Jak rzep przy psim ogonie, od pierwszego dnia w tym miejscu chodził za mną jak cień, dopóki się nie zaprzyjaźniliśmy. Powiedział, że co roku zamierza zakumplować się z pierwszą osobą, jaką zobaczy po

przekroczeniu drzwi auli głównej. I niezmiennie od sześciu lat to byłem ja. Jeśli wierzyłbym w przeznaczenie, powiedziałbym, że to właśnie ono stawiało mnie na jego drodze.

– Może jesteś kryptogejem i podświadomie się we mnie podkochujesz? – rzuciłem, wzruszywszy ramionami. Dean zaśmiał się perliście, dźwięcznie, jak na bogacza przystało. Mogłem się założyć, że gdyby definicję słowa *bogacz* opatrzono fotografią, to właśnie on by się na niej znalazł.

– Tak, oczywiście. – Poklepał mnie po plecach. – Chodź, zaraz się zacznie.

Większość studentów już zajęła krzesła. Poszukaliśmy wolnych miejsc, precyzyjnie się przez grupę z równoległego wydziału i usiedliśmy pod witrażem przedstawiającym Mikołaja Kopernika.

Rektor wszedł na podest. Co roku mówił to samo, znałem przemówienie niemal na pamięć, choć tym razem końcówka mowy się różniła. Wyglądało na to, że AIT poszerzał horyzonty. Z wyćwiczonym pietyzmem dyrektor instytucji ogłosił, że od tego roku rusza nowy kierunek, którego nazwa ciągnęła się jak kolejka do łazienki na imprezie w domu sportowców. Zapamiętałem jedynie „neuroart”. Coś o mózgu, coś o sztuce. Nic, co by mnie interesowało bardziej niż zeszłoroczny śnieg.

Mój wzrok mimowolnie wędrował do wyróżniającej się koleżanki. Siedziała po drugiej stronie auli, zaraz przy przejściu. W tym szarym komplecie świeciła niczym żarówka w pustym pokoju. Nerwowo stuknęła paznokciem o kolano, głowę miała lekko pochyloną, jakby wbiła spojrzenie w tył krzesła stojącego przed nią. Jej druga ręka zwisała swobodnie wzdłuż ciała, zaciskała pięść raz po raz, aż bieleły jej kostki.

Dean szturchnął mnie łokciem. Posłałem mu nienawistne spojrzenie.

– Chodź, Panie Geniusz. Już koniec.

Uniosłem brew, po czym rozejrzałem się przelotnie po auli. Rzeczywiście studenci zaczęli wstawać ze swoich miejsc, część kierowała się ku wyjściu. Podniosłem się z cichym westchnieniem. Niespodziewanie zrobiło mi się ciemno przed oczami. Telefon zaczął

wibrować wściekle w kieszeni płaszcza. Zachwiałem się, Dean chwycił mnie pod ramię, bym nie stracił równowagi.

– Oho! – Gwizdnął. Poczułem, jak spiął mięśnie. – Jadłeś coś?

– Jadłem – mruknąłem. Świat powoli nabierał ponownie barw. Wymacałem telefon i wyłączyłem alarm. – I strasznie wczoraj zachlałem.

– Finn!

– Proszę – usłyszeliśmy niespodziewanie. – Pomoże dotrwać do obiadu.

Mój wzrok spoczął na smukłych palcach, spomiędzy których wystawało opakowanie gum do żucia. Powiodłem wyżej i prawie się zachłysnąłem. Koleżanka od smutnego stroju przyglądała mi się uważnie szarymi oczami. Kiedy tylko napotkała moje spojrzenie, natychmiast przymknęła powieki i skierowała głowę w bok.

Bezwiednie wyciągnąłem dłoń i złapałem za opakowanie. Posłała mi bliżej nieokreślony grymas, coś na kształt uśmiechu, ale bardzo sztucznego. Wymuszonego? Nie zdążyłem się nad tym zastanowić, dziewczyna odwróciła się na pięcie i opuściła główną aulę szybciej, niż by ktokolwiek się spodziewał.

Jedyne, co po niej zostało, to słodki, ciasteczkowo-korzenny zapach, wystarczająco intensywny, bym poczuł tę woń nawet na języku.

Rozdział 2

Finn

Na terenie kampusu AIT znajdowała się tylko jedna kawiarnia – całkiem spora, ale otwarta dopiero od następnego tygodnia. Dlatego razem z Deanem wsiedliśmy do jego nowobogackiego auta i ruszyliśmy na centrum, do naszej ulubionej restauracji. „Mrs. Ally” znajdowała się niedaleko jedyne go parku w tym mieście i serwowała całkiem zjadliwe żarcie. Nie dorównywała kulinarnym umiejętnościom Conrada, ale klimat tego miejsca wszystko wynagradzał.

Powiedzieć, że właściciele kochali lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku, to jakby nic nie powiedzieć. Podłoga w białoczarnej szachownicy przywitała nas błyskiem odbijających się w niej neonowych napisów krzyczących znad długiej lady. Czerwone, skórzane kanapy oblegane przez studentów skrzypiały, a stoły przykryte kraciastymi obrusami ugięły się od talerzy zapełnionych frytkami, hamburgerami i kuflami z piwem.

Kelnerka podniosła głowę znad kasy, gdy dzwoneczek nad drzwiami oznajmił nasze przybycie. Dean posłał jej szeroki uśmiech. W zeszłym semestrze próbował wyciągnąć od niej numer, jednak poniósł sromotną klęskę. Znając go, w tym semestrze również spróbuje swoich sił. Dean Nicholson nie poddawał się tak szybko, choć jego podejsście do życia wskazywało na coś zupełnie przeciwnego.

Upodobaliśmy sobie stolik w najdalszym kącie restauracji. Znajdował się za winklem, dlatego rzadko ktokolwiek decydował się na zajęcie go. Tym razem nie było inaczej: mimo że sala pękała w szwach, ten jeden czteroosobowy stolik stał całkowicie pusty. Dean został przy ladzie, by

złożyć zamówienie, a ja wcisnąłem się w obicie kanapy i odchyliłem głowę.

Smutna koleżanka dała mi żelki, a nie gumy, jak wcześniej założyłem. Żułem już trzecią, miała smak jabłka i cynamonu. CGM przestał wrzeszczeć już po pierwszej, ale wolałem nie ryzykować, dopóki nie zjadłem posiłku. Poza tym piekielnie mi smakowała. Pasowała do zapachu dziewczyny, od której ją dostałem. Wypadałoby odkupić jej paczkę, ale nie miałem pojęcia, gdzie się w nią zaopatrywała, nigdy nie widziałem takiej w okolicznych marketach.

Dean usiadł naprzeciwko. W jednej ręce trzymał kufel z piwem, w drugiej – sok pomarańczowy. To oznaczało, że w drodze powrotnej to ja będę siedział za kierownicą.

– Garret i Connor do nas dołączą – oznajmił, postawiwszy przede mną szklankę. – Czyli kolejny rok ekipa w komplecie. Sandy zaraz przyniesie ci coś do żarcia.

– Masz numer? – Uśmiechnąłem się. Dean zmarszczył nos i pokręcił zrezygnowany głową.

Uczelniany dream team w komplecie. Finneas Whitman, Dean Nicholson, Garret Conroy i Connor Miller. Czterech jeźdźców wykładowej apokalipsy. Każdy z nas miał w szufladzie świeżutką umowę podpisaną z uczelnią i zagwarantowaną ciepłą posadkę na wydziale robotyki. Za to lubiłem AIT, widzieli potencjał w swoich studentach i korzystali z niego ochoczo.

Wraz z kumplami podeszła do nas Sandy i postawiła tacę z jedzeniem. Moja sałatka z kurczakiem wyglądała biednie przy ogromnym hamburgerze Deana, ale chciałem wrzucić w siebie cokolwiek w miarę zdrowego, byleby wyregulować poziom glukozy. No i fast food nie był wskazany w moim wypadku.

Pochłaniałem swoje jedzenie, nie przysłuchując się zbytnio rozmowie. Kumple wymieniali się wrażeniami z przerwy międzysemestralnej, ja z kolei nie miałem czym się dzielić. Wolałem zostać w Avenleigh

i pracować za psie pieniądze w uczelnianym laboratorium, niż znosić przez dziewięćdziesiąt dni moją matkę.

– A ty co myślisz? – usłyszałem z lewej.

Przestałem przeżuwać kiepsko doprawiony kawałek kurczaka. Spojrzałem na Garreta rozpartego obok mnie. Reszta zamilkła w oczekiwaniu.

– O czym? – zapytałem. Nie miałem ochoty udawać, że słuchałem uważnie.

– O tym nowym kierunku. Podobno będą prowadzić badania nad mózgami różnych artystów.

– Nic o tym nie myślę, nie obchodzą mnie jakieś mazaje.

– Przecież to kierunek bezpośrednio związany z naszym – dodał Connor. Mieszał resztki piwa w swoim kuflu. – Czytałeś maila od rektora?

Wzruszyłem ramionami. Rzeczywiście, dostałem wiadomość z uczelni, ale doszedłem do wniosku, że jego treść nie zmieniła się, odkąd zacząłem studia.

– Nie czytałem.

– Ja też nie – odezwał się Dean. – Nudy.

– No to słuchajcie, drodzy koledzy. – Garret odchrząknął i położył obie dłonie na blacie. – To ma być połączenie sztuk wizualnych, neurofizjologii i emocjonalnej percepcji obrazu. – Nakreślił w powietrzu półokrąg otwartymi dłońmi i zamarł w oczekiwaniu na naszą reakcję. Gdy żadnej nie uzyskał, westchnął teatralnie. – Będą wykorzystywać do nauki nasz prototyp EEG i program do rezonansu, który stworzył jakiś Macmillan. Jako doktoranci mamy uczestniczyć w przygotowywaniu sal wykładowych pod nowe kierunki.

– Conrad Macmillan? – Uniosłem brew. Kumpel kiwnął głową po chwili zastanowienia. – To mój współlokator.

Więc *studiował informatykę* – przemknęło mi przez myśl. Nic dziwnego, że nie zaskoczyły go mój CGM i naboje w lodówce, musiał prawdopodobnie skończyć medycynę, by dostać się na ten kierunek, AIT tego wymagał. Mnie się nie udało, musiałem zadowolić się mechaniką

i budową maszyn. Nie było to spełnieniem moich marzeń, ale odnalazłem się znakomicie w kablach i płytkach.

– Mniejsza o to, przecież nie będziemy mieć z nimi wszystkich zajęć, tylko te, które pomogą nam scalić odpowiednio systemy – powiedział Dean, wciąż przeżuując burgera. Nie cierpiałem, kiedy mówił z pełną gębą. – Widzieliście te laski, co będą studiować neuroart?

– Sandy już ci się nie podoba? – Connor szturchnął go w ramię, o mało nie wytrącając mu przy tym kufla z piwem.

– Podoba, ale nic jej nie obiecałem przecież. – Dean rozłożył szeroko ręce.

Rozmowa trwała, a ja z każdą mijającą minutą nudziłem się coraz bardziej. Ostatnie, o czym chciałem gadać, to dziewczyny, które można by obrobić w pięć sekund. Szczególnie świeżo po rozstaniu z Kriss. Miałem zwyczajnie dość lasek.

Sandy donosiła piwo niemal od razu po tym, jak trunek zniknął z pozostawionych wcześniej kuflów. Ja zostałem przy zwykłej wodzie i obserwowałem po prostu coraz głębszy stan upojenia chłopaków. Im więcej czasu mijało, tym liczba znajomych wchodzących do „Mrs. Ally” się powiększała. Dźwięk dzwonka przy drzwiach gubił się we wszechobecnym zgiełku. Podniesione głosy, stukot szklanek i donośne śmiechy sprawiały, że czułem się nieco jak w ulu, który budził się do życia po zimie.

Lubiłem to i nienawidziłem jednocześnie. Moje baterie społeczne szybko się wyczerpywały, szczególnie że dzień wcześniej spędziłem już czas z tymi ludźmi.

W końcu, gdy mój zegar biologiczny sygnalizował porę na kolejny posiłek, doszedłem do wniosku, że powinienem zbierać się do mieszkania. Upewniłem się jedynie, że Dean nie wróci samochodem do domu (kazał zabrać auto do siebie) i wyszedłem na zewnątrz, witając rześkie powietrze po deszczu.

Avenleigh było niewielkim miasteczkiem, które pełniło również funkcję miasteczka studenckiego. To głównie my, nadzieja tego narodu,

pracowaliśmy w marketach i kawiarniach, byliśmy motorem napędowym tego miejsca i chlubą stanu Vermont. Oczywiście nie mogliśmy konkurować z Cambridge znajdującym się w Massachusetts, ale oni również nie mogli z nami. Nie mieli tak innowacyjnych technologicznie kierunków, jak niewielki AIT.

Wsiadłem za kierownicę Cadillaca. Oparłem się o skórzany fotel i przymknąłem na moment powieki. Delektowałem się ciszą. Dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że chociaż głowa już nie bolała, odczuwałem nieprzyjemne pulsowanie w potylicy i moim największym marzeniem, było przespać resztę dnia. Za każdym razem po jakiejś grubszej imprezie obiecywałem sobie, że więcej się tak nie sponiewieram. Cóż, najwyraźniej mogłem wrzucić sobie między bajki te głupie zapewnienia, bo czasem wystarczył niewielki zapalnik do tego, bym schlał się jak świeżak, co miał alkohol w ustach po raz pierwszy.

Wraz z tą myślą pojawiła się w mojej głowie Kriss. Uparta Kriss. Nie pozwalała o sobie zapomnieć. Widziałem ją przed restauracją. Wpatrywała się w szybę, zapewne szukając mojej twarzy. Siedzieliśmy jednak wystarczająco daleko, by nie mogła mnie dostrzec. Liczyłem na to, że to nieprawda, że dała sobie spokój i po prostu sprawdzała, czy są wolne miejsca. Wolałem przyznać, że mam o sobie zbyt duże mniemanie, niż skonfrontować się z faktem, że ta dziewczyna nie jest w stanie odpuścić sobie faceta, który dał jej kosza.

Cóż, w końcu byłem w czymś jej pierwszym.



Przystało łać. Słońce wyszło zza chmur, jego promienie odbijały się w kałużach, utrudniając tym samym widoczność. Sunąłem powoli po Main Street, przyglądając się szarym budynkom wyrastającym po obu stronach drogi. Ludzie spacerowali po chodnikach z parasolkami w dłoniach, gotowi na nagłą zmianę pogody.

Fala studentów ożywiła miasto. W ciągu ostatnich trzech miesięcy przypominało bardziej wioskę duchów niż miejsce spotkań uczelnianej socjety. Lubilem spokój, który temu towarzyszył. Wszystko toczyło się prawidłowym dla siebie tempem, takie przynajmniej miałem wrażenie.

Telefon zawibrował na siedzeniu pasażera w tym samym momencie, w którym wyłączyłem silnik. Spojrzałem na ekran i przewróciłem oczami, zanim nacisnąłem zieloną słuchawkę i przyłożyłem urządzenie do ucha.

– Miałeś zadzwonić po rozpoczęciu roku – rzuciła matka z wyraźną nutą pretensji w głosie.

Isolde Whitman brzmiała pretensjonalnie już od sześciu lat. Niezadowolenie wyrosło na jej twarzy w ciągu kilku sekund, w których oznajmiałem, że wybieram się na studia do Vermont, a nie na Oxford tak jak sobie wymarzyła. Na szczęście od spełniania jej oczekiwań był Brandon, ja stałem się rozczarowaniem w chwili, w której okazało się, że jej fantastyczne geny przekazały mi cukrzycę typu pierwszego i byłem bardziej podobny do jej ojca niż do ukochanego męża.

– Wyleciało mi z głowy – mruknąłem, odpinając pas.

Westchnienie zawodu wydobyło się ze słuchawki. Matka doskonale zdawała sobie sprawę, że kłamałem, bo zdarzało mi się to zbyt często. Nie zamierzałem tego ukrywać, mogłem zwyczajnie nie odebrać, ale wtedy musiałbym mierzyć się z jej wizytą, a to było mi strasznie nie na rękę. O ile moje wyniki w nauce zadowalały Isolde wystarczająco, by nie wspominała o studiach przy każdej nadarzającej się okazji, o tyle inne aspekty mojego życia stały się nagłym tematem podczas rodzinnych spotkań czy odwiedzin szanownej matki w Vermont.

– Wiesz, że się martwię. Doktor Benson przesłał twoje wyniki i...

– I są w normie bez względu na to, co powiedziała ta jędra, która ciągnie od ciebie pieniądze za każdą, nawet najdrobniejszą konsultację.

Na linii nastała wymowna cisza. Prawda była taka, że odkąd przestałem chodzić do lekarzy rekomendowanych przez towarzystwo mojej matki, zacząłem czuć się zdecydowanie lepiej. Nie musiałem też

pamiętać o zastrzykach, bo Benson zaproponował monitor poziomu glukozy i pompę insulinową. Jasne, zawsze miałem w lodówce zestaw ratunkowy, ale nie musiałem kłuć się trzy razy dziennie, jak to dotychczas miało miejsce.

– Czy oprócz mojego samopoczucia jest jeszcze coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać? – zapytałem, gdy jej milczenie przeciągało się dłużej niż zazwyczaj.

Isolde odchrząknęła. W tle usłyszałem stukanie łyżeczki o porcelanową filiżankę. Pociągnęła łyk mocnej, czarnej herbaty, zapewne zostawiając przy tym czerwony ślad na rancie. To jedyne, co pijała w ciągu dnia. Nie rozstawała się również z pomadką w krwistym kolorze, tak ją pamiętałem nawet z okresu dzieciństwa, na każdym zdjęciu w albumie i portrecie na ścianie.

– Kristine do mnie dzwoniła.

Otworzyłem usta, by po chwili je zamknąć. Spodziewałem się po tej dziewczynie wszystkiego, oprócz tego jednego. Kriss szczerze nie cierpiała mojej matki. Z wzajemnością. Moja eks uważała Isolde za zbyt kontrolującą, właściwie miała sporo racji, ale nigdy nie powiedziałbym tego na głos. Z kolei moja rodzicielka... cóż, w jej wypadku to nie było nic osobistego. Nie lubiła żadnej mojej dziewczyny. Mimo to jej zachowanie wobec każdej z nich pozostawało nienaganne.

– Co chciała? – Zdobyłem się w końcu na wykrzesanie z siebie jakichkolwiek słów. Upewniłem się, że włączyłem alarm w samochodzie, po czym ruszyłem w stronę klatki schodowej. Niespodziewanie poczułem się zmęczony. I nie była to kwestia późnej pory.

– Wiesz, nigdy nie pochwalałam waszego związku – zaczęła poważnym tonem. Odstawiła filiżankę na talerzyk, czemu towarzyszył charakterystyczny dźwięk. – Podobno źle się prowadzasz, zapewne to ona ma na ciebie taki wpływ, ale nie chce, bym ją o to podejrzewała.

– Od trzech tygodni nie ma na mnie żadnego wpływu – odparłem równie oficjalnie. – Rozstaliśmy się.

– Przykro mi.

Wcale nie było jej przykro. Oczami wyobraźni widziałem, jak rozciąga usta w karykaturalnym uśmiechu, a oczy błyszczą z zadowolenia. Wciąż liczyła na to, że po studiach wróć do domu, przejmę rodzinny interes, a ona znów położy łapy na moim życiu. Przy okazji wepchnie między moje ramiona córkę którejś z koleżanek. Każde związkowe niepowodzenie tylko utwierdzało ją w tym przekonaniu. Problem polegał na tym, że miałem charakter swojej matki i relacje traktowałem jak transakcję biznesową. Jeśli nie była dla mnie korzystna – zrywałem umowę.

Wymieniliśmy jeszcze kilka zimno-uprzejmych zdań, następnie rozłączyłem się z niesamowitą ulgą. Rozmowy z matką stawały się coraz bardziej męczące, wymijające odpowiedzi kwitowała niezadowolonymi prychnięciami i wytykaniem powtarzających się sztuczek. Wymyślanie na poczekaniu nowych wymówek nie było moją najmocniejszą stroną, przez co nasze konwersacje kończyły się nieprzyjemnie. A to wiązało się z telefonem od Brandona.

Brat zadzwonił niespełna godzinę później.

Nie odebrałem. Wystukałem krótką wiadomość, że oddzwonię, po czym rzuciłem się na łóżko i zakryłem oczy przedramieniem. Potrzebowałem odciąć się od wszelkich bodźców, nieobecność Conrada stała się w tej chwili zbawieniem. Głowa wciąż pulsowała tępym bólem, jednak niewystarczającym, by wziąć kolejną tabletkę. Wiedziałem, że za moment i tak muszę się podnieść, ale ta krótka chwila wyciszenia dała mi dużo więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Mój umysł postanowił, że będę robił co innego niż jego oczyszczanie. W wyobraźni pojawiła się smutna koleżanka. Wyrwała się w mojej głowie niczym fotografia w jakości HD. Ciemne, falowane włosy, zadarty nos i kilka piegów. Okrągłe, szare oczy, jak u przestraszonego zwierzęcia. Właściwie zachowywała się jak przestraszone zwierzę, jakby uczelniany zgiełk nie był jej naturalnym środowiskiem. Mnie lata nauki przygotowały na tabuny rozkrzyczanych młodych dorosłych, choć pewnie, gdybym nie uparł się na zakończenie edukacji domowej, zareagowałbym podobnie.

Ta jej monochromatyczność miała w sobie coś uroczego. Delikatnego, nieuchwytnego. Jakby nie należała do tego świata, znalazła się tu przypadkiem i próbowała jakoś się dopasować, lecz na próżno. Całkiem ładna, ale nie w moim typie. Zakładałem, że została studentką nowego kierunku. Neuronauka połączona ze sztuką.

Parsknąłem, a kącik ust mimowolnie się uniół w szyderczym uśmiechu. Uważałem artystów za odklejonych od rzeczywistości. Doszukiwali się głębi w pociągnięciach pędzli szaleńców, takich samych jak oni. A to tylko kilka barwników połączonych z odpowiednim nośnikiem, nic więcej. Na lekcjach kultury nauczycielka powtarzała, że sztuka ma wywoływać w nas konkretne emocje.

Z tym się akurat zgadzałem. Czułem niesamowitą pogardę, patrząc na niektóre dzieła, które były sprzedawane na aukcjach za zawrotne sumy. Można je zainwestować w tak wiele innych rzeczy. Bardziej przydatnych.

Przewróciłem się na bok i spojrzałem na zegarek stojący na szafce obok łóżka. Dochodziła piąta po południu, a to oznaczało, że zostało mi całkiem sporo czasu, by przygotować się na pierwszy dzień wykładów. Ten rok miał być trudny, miał nas sprawdzić, czy nadajemy się do pracy zarówno jako inżynierowie, jak i przyszli wykładowcy. Ja miałem zostać sprawdzony w tej roli. Lista zadań na ten semestr czekała na moim mailu. Nieotwarta. Domyślałem się, co mnie czeka, ale nie byłem w stanie się przygotować, jeśli nie poznam dokładnych wytycznych.

Sęknąłem w tym, że zwlekałem z otwarciem tej wiadomości do ostatniej chwili. Wpatrywałem się w biurko i ciemny ekran laptopa. Pot spływał mi po karku. Nie bałem się ciemności, potworów spod łóżka, kosza od dziewczyny.

Nie bałem się nawet hipoglikemii czy śpiączki cukrzycowej, potrafiłem przeciwdziałać obu tym rzeczom.

Nic mnie tak nie przerażało, jak myśl, że mógłbym nie podołać zadaniu, którego się świadomie podjąłem.